

Ławeczka Józefa Barana (20)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

Poza tym zwyczajni ludzie są do siebie wszędzie podobni, chcą zwyczajnie żyć i i gdyby nie mącili im w głowie ideolodzy i politycy, to pewnie jakoś by się ze sobą dogadali. Rosjanie mają podobne co my weekendowe upodobania, ot choćby rodzinne piknikowanie... Uzmysławiam to sobie, gdy wybieram się w Moskwie na samotny spacer po okolicznym parku-lasku ze stawkami i stanowiskami na ruszty. Uliczka Szmaragdowa, rzeczywiście umajona zielenią i kwiatami, śpiewem ptaków i kwakaniem kaczek. Niby centrum dziesięciomilionowej metropolii, a tu biesiadowanie, ogniska, pieczenie na ruszcie barana, prosiaka, gęsi...

Siedzą, gawędzą ze sobą na leżakach całymi rodzinami, przepijają do siebie piwem, winem, wódką, sokiem, herbatą. Niektórzy o skośnych oczach i azjatyckich rysach, bo Moskwa, podobnie jak Nowy Jork to zbiegowisko ludzi różnych ras. Czy potrzeba im do szczęścia wojny, konfliktów? Dzieci baraszkują na trawie, psy zziązane biegają w te i we wte, kobiety krają chleb i rozdają porcje na papierowych tackach.

Niby obcy mi, a w tej chwili, gdy ich mijam, wydają się osobliwie bliscy i swojscy.

Dla mnie z wyostrzonym zmysłem powonienia czymś narzucającym się był zapach wynikający z niezbyt chyba częstego używania dezodorantów. Co prawda i u nas krytyk filmowy Zygmunt Kałużyński był orędownikiem nie za częstego mycia się, żeby nie zdrzeć flory bakteryjnej ze skóry, ale Kałużyński u nas zdarzył się jeden, a tu na koncertach, w przepełnionych salach Kałużyńskich mnóstwo... Może w ogóle tym różni się Zachód od

Wschodu, że w krajach zachodnich pachnie nawet w toaletach, gdy na Wschodzie w filharmonii (nie wspominając o dawnych polskich autobusach komunikacji miejskiej) czuć co prawda naturalną, ale niezbyt miłą woń ludzkiego potu?

Drugie spostrzeżenie. Moskwa niczym nie różni się od wielkich miast europejskich, zarówno pod względem nowoczesnych rozwiązań architektonicznych, jak i dzięki dobrze funkcjonującemu metru.

Na dwu Moskwiczankach czytających książki w przedziale metra przypada czterech czytających e-booki czy ajpody. Gdy zaś płynie się rzeką Moskwą, można zachwycać się nie tylko kąpielami cerkwi złączonymi w słońcu i zabytkami, ale i nowoczesnymi hotelami, wysokościowcami na miarę tych z Nowego Jorku czy Singapuru.

Ale już w głębi Rosji (Twer, Rzew) autobusy i trolejbusy wyglądają jak wychudzone, zziązane psy z zapadniętymi bokami: odrapane, skorodowane...

Architektura też nie może budzić entuzjazmu...

POCZTÓWKA Z TWERU

(notatka)

wszędzie człowiek bywa sam także wśród najbliższych co dopiero

na obczyźnie
ale najmniej sam
byłem zawsze
wtedy gdy dzieliliśmy się
naszymi samotnościami
myślałem włączając się
po nadwożańskim mieście Twer
gdzie pośród odpadków i śmieci
szalały bzy i jaśminy
i ogniła się ognicha
a poeci z różnych krajów
próbowali ustanowić w słowach wspólnotę

na ulicy leżał i zapał
chyba najbardziej samotny człowiek Ziemi
rozpadał się na oczach przechodniów
tuląc do piersi jak ostatnią deskę ratunku
butelkę rozlanego wina

przeszło mnie jego bezdenne cierpienie
niebem płynęły
ciemne chmury
zszedłem nad Wołgę
zapachniały bzy i jaśminy (...)

Podczas tego drugiego już pobytu w Rosji przypominają mi się momenty z pierwszej podróży z roku 1986. Co prawda wtedy zaczęła się już pieriestrojka w Moskwie, gdzie rządził Jelcyn, ale zakosztowałem wówczas jako dziennikarz tygodnika „Wieści” sowieckich zwyczajów i rytuałów, począwszy od tego, że miałem przydzielonego „anioła stróża” w postaci Jury, który nie spuszczał mnie na krok z oka. Jura – ach co to był za osobliwy anioł stróż. Twierdził, że jest wierzący, podobnie jak ja (skąd mieli o mnie takie informacje?), chodzi co tydzień do cerkwi, modli się, et

cetera. Jego przekleństwem były kobiety, nie był w stanie oprzeć się ich urokom i co wieczór ciągnął mnie ze sobą na tańce w hotelach, gdzie przemieszkivaliśmy a pod koniec naszej eskapady stwierdził zmartwiony, że po raz pierwszy wraca do domu i żony w stanie bezgrzesznym...

Tamta pierwsza podróż obejmowała trasę: Moskwa-Leningrad-Nowgorod (gdzie większość stanowiły kobiety, bo mężczyźni wyginęli na wojnie) – Wołogda (tu odwiedziłem dom znakomitego poety, którego uduśliła własnymi rękami kochanka). Komuna, co prawda w złagodzonej wersji, dała mi się we znaki – przede wszystkim w Wołogdzie i Nowgorodzie, gdzie miałem „kalendarzyk” wypełniony co do minuty od rana do wieczora. Od przedszkola do kołchozu, od rozmów z artystami (przez nich wydelegowanymi do takich spotkań) do rozmów z jakimiś „sekretarami” czy stachanowcami. Wszędzie wyciągałem swój kajejik i udawałem, że zapisuję ich rewelacje tłumaczone przez Jurę, z których mało co rozumiałem, choć robiłem bardzo mądrą minę. A gdy chciałem się spotkać „poza programem” z pisarzami interesującymi mnie, między innymi z opozycyjnym wówczas „dieriewieńszczykiem” Wasilijem Biełowem, przerywano mi niezaplanowane spotkanie bezceremonialnie, twierdząc, że nie mogą samowolnie wprowadzać do mojego harmonogramu pozycji nieuzgodnionych. Dwukrotnie zostałem wyproszony z kawiarni i zawieszony do hotelu, gdzie czekał na mnie Jura, tłumacząc, że choć jest „pieriestrojka” i wszystko się zmienia, nie zmieniło się jeszcze na tyle, bym sobie mógł pozwolić na samowolkę.

Uderzyło mnie wtedy, że wszyscy, wszystkich pouczali. „Nie lza, malcziki”. To zdanie słyszało się w pociągu, na ulicy, w teatrze, na ziemi, w powietrzu i na niebie. Zrozumiałem, że system sowiecki zasada się właśnie na tych dwóch słówkach „nie lzia!”. „Nie lzia”, „nie lzia”, „nie lzia”... Wtedy pojąłem z całą dobitnością, dlaczego nie cierpię „morralistów” wszelkiej maści.

A gdy przemykaliśmy pociągiem przez ogromne przestrzenie kołchoźnianej Rosji, utkwily mi w sercu i w oczach przepiękne drewniane domy z ozdobnymi oknami i gankami, białe „bieriozy” i... błota, błota, błota... z kołchoźnikami w gumiakach. Trochę osłabła wtedy wtedy moja młodzieńcza miłość do poezji rosyjskiej, Jesienina i Błoka, do pieśni Bułata Okudźawy i Włodzimierza Wysockiego. Rzeczywistość kołchoźniana przesłoniła piękne poetyckie obrazy, a sowiecki dryl wyleczył mnie z jakichkolwiek wątpliwości na temat idylli komunistycznej opiewanej przez politruków, których zresztą nie cierpiałem, szczególnie teraz, załatwiając na stojąco potrzeby fizjologiczne w niewygodnych radzieckich wygodkach, gdy obok mnie inni załatwiali je podobnie jak ja, również na stojąco, przegrodzeni tylko do połowy ściankami. Ta sytuacja uświadomiła mi całą obłudę tego diabelskiego systemu w masce anioła...

cdn.